



WOJCIECH
BURDEŁAK

PAMIĘTNIK
NAPISANY W
GROBIE

JEDNA BŁĘDNA DECYZJA, NIEODWRACALNE KONSEKWENCJE



Wojciech Burdelak

Pamiętnik napisany w grobie

„Rzeka za szeroka, zbyt odległe brzegi
a do tego pływać nikt z nas nie potrafi
przejsć ją jednak trzeba, choć woda głęboka
bo po drugiej stronie światło na nas czeka.

Coś nas pcha, coś ciągnie, nie pozwala zwlekać
byśmy jak najprędzej w podróż wyruszyli
bądźmy więc posłuszni, nie czekajmy chwili
i czyńmy co śmierć nam robić nakazuje.

Prośmy Boga o litość i o zmiłowanie
bo już jest za późno by poprawiać błędy
jesteśmy przejazdem, nic tu nie jest nasze
i dalej nam do władcy, niżli do przybłedy.

Podróż się zaczęła, pora ruszać w drogę
czasu było mnóstwo, by się przygotować
zawsze głodni wiedzy, co tam na nas czeka
a gdy śmierć nadeszła pragniemy odwlekać”.

Wprowadzenie

„Nasze życie jest krótkie i smutne. Nie ma lekarstwa na śmierć człowieka, nie znamy nikogo, kto by wrócił z otchłani. Urodziliśmy się niespodzianie i potem będziemy, jakby nas nigdy nie było. Dech w nozdrzach naszych jak dym, myśl jak iskierka z uderzeń serca rozpułynie jak niestałe powietrze. Imię nasze pójdzie z czasem w niepamięć i nikt nie wspomni naszych poczynań. Przemienie życie nasze jakby ślad obłoku i rozwieje się jak mgła ścigana promieniami słońca i żarem jego przybita. Czas nasz jak cień przemija, śmierć nasza nie zna odwrotu: pieczęć przyłożono, i nikt nie powraca”.

Księga Mądrości, 2, 1-5.

Czasami bywa tak, że los daje potępionym drugą szansę. Czy ja ją dostałem? Nie wiem. Zamierzam opowiedzieć smutną historię, koleje mojego losu, które poniekąd sam wykreowałem, dając się ponieść nieokiełznanemu żywiołowi, który zwie się życiem. Podobno życie jest sumą przypadków, na które mamy niewielki wpływ, a bywa, że i żaden. Był jednak czas w moim życiu, kiedy tak nie myślałem. Perspektywa ulegnięcia żywiołowi, który mnie porywa i niesie nie wiadomo gdzie, wydawała mi się pozbawiona sensu, a jednocześnie burzyła fundamenty światopoglądu, który sam sobie wybudowałem. Każdy z nas pragnie więcej, niż jest w stanie strawić, dużo więcej niż mu potrzeba, a nieokiełznany apetyt na więcej i więcej pcha nas często na drogę pychy i obłudy, która prędzej czy później poprowadzi ku zatraceniu.

Jesteśmy jednak tacy, jakimi jesteśmy i nic z tym nie zrobimy. W naszym DNA zapisano nam dokładny, wręcz szczegółowy przepis na to, jakimi mamy być. Czy jesteśmy jedynie zaprogramowanymi robotami z wpisanymi komendami? Jeżeli tak, to nasza przysłowiowa „wolna wola” niestety, ale nie istnieje. Czy to jaki byłem i jak strasznych czynów się

dopuszczałem, było jedynie powiązane z wykonywaniem komend? To całkiem możliwe.

Brzmi to jednak jak próba szukania dla siebie usprawiedliwienia. Jednak z drugiej strony patrząc... nie wybierałem sobie cech charakteru. Bo wtedy zapewne nie zaserwowałbym sobie: braku cierpliwości, ciągoty do alkoholu, impulsywności i co chyba w moim przypadku najgorsze, tego dzikiego wręcz pędu za spódniczkami. Niestety było tak, że często myślałem nie tą częścią ciała, co należy i nic nie mogłem z tym zrobić. Wyrządziłem w ten sposób mnóstwo krzywd, ale cóż mogłem począć, skoro taki właśnie byłem. Ulepiono mnie z takich, a nie innych składników i postawiono wobec faktów dokonanych.

Żadne z nas nie jest w stanie przewidywać nadchodzących wydarzeń – chyba że sam je zaplanuje – i nic na to nie poradzimy. Być może na tym właśnie polega urok życia, że nieustannie nas zaskakuje. Gdybym na początku mojej drogi wiedział jakie konsekwencje poniosą moi bliscy i oczywiście ja sam, to przenigdy bym nie podążył tą ścieżką. Nigdy nie posiadałem cech autodestrukcyjnych ani tym bardziej masochistycznych. Jednak w tamtym przypadku było inaczej, brnąłem – bezkrytycznie odurzony narkotykiem, który zwie się życiem – wręcz ślepy, do celu, którego nie dostrzegałem, a nawet nie byłem w stanie sobie wyobrazić.

To gdzie się znalazłem i co się teraz ze mną dzieje jest dla mnie najbardziej sprawiedliwą karą, na którą w stu procentach zasłużyłem. Z początku się buntowałem, ale później spuściłem głowę z pokorą.

Trudno jest od potencjalnego grzesznika wymagać pokuty, przeprosin i żałowania za grzechy, jeżeli on nie rozumie jakiego złego uczynku się dopuścił. Od zawsze tak było, że istotą kary jest jej świadomość. Jeżeli ukarany nie wie, że odbywa karę, a jedynie wychodzi z założenia, że to, co się dzieje, jest tylko niefortunnym zbiegiem okoliczności, złą passą, to wówczas kara nie spełnia swego zadania. Ja dopiero po czasie zrozumiałem, że zostałem skazany za uczynki, których nie byłem w pełni świadomy. Żyłem w błogiej nieświadomości, nie zdając sobie z tego sprawy.

Ja już nie jestem ważny. Moje EGO zostało uśpione, a może nawet zniszczone. Zanurzyłem swoje zbrukane dłonie w niezwykłym naczyniu, na którym wypisano niezręcznym pismem słowo „Pokora”. Niestety upadłem tak nisko, że niżej już nie było można. Niektórzy uważają, że trzeba opaść na samo dno, aby następnie mieć się od czego odbić i ruszyć ku świetlanej

powierzchni, którą zwą odpokutowaniem, a co za tym idzie również i odkupieniem. Nie do końca się zgadzałem z takim stwierdzeniem.

Moje własne dno, na które opadłem, było diametralnie inne, cokolwiek to mogło oznaczać. Nie miało materialnej struktury, nie było fizyczne i namacalne, a ja nie składałem się już z powszechnie znanych cząsteczek i atomów. To gdzie teraz jestem, to jest zapewne piekło, a ja popadłem w odmęty złej energii, która jest oczywiście karą, ale ja ją po prostu nazywam: SPRAWIEDLIWOŚCIĄ.

1. *Opowiem wam wszystko*

- Proszę cię Panie Boże, uratuj moją żonę, bo jak zostanę sam to sobie nie poradzę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?! Jeżeli jednak nie zechcesz pomóc, to do cholery odwróć się od nas, poudawaj że niczego nie widzisz i pozwól innym siłom czynić cuda! – wypowiedziałem te słowa szeptem, ale przysięgam na wszystko, że z całych sił pragnąłem je wykrzyczeć; najgłośniej jak tylko potrafiłem. Sekundę później leżałem już z otwartymi oczami i patrzyłem w sufit, próbując dociec co mi się śniło.

Podobno sny są odpowiedzią na pytania, których nawet nie potrafimy zadać. W moich snach przewidziałem, a właściwie to ujrzałem bardzo dużo z tego co miało nastąpić. Oczywiście zbagatelizowałem te senne majaki, bo co mnie mogły obchodzić jakieś tam fantazje zmęczonego umysłu. A poza tym, co niby mogłem z tym zrobić? Pytanie w sumie z gatunku retorycznych, bo jak niby można walczyć z wizjami?

Kto by przypuszczał, że los w całej swej przewrotności zechce mi pokazać, że to on ma władzę, że to on tu rządzi. Chyba zawsze byłem palantem, ale tak naprawdę to nie chciałem tego dostrzegać. A może widziałem, ale miałem to najzwyczajniej gdzieś? Mama i tata byli zwyczajnymi ludźmi, banalnymi aż do szpiku kości, a mnie się wydawało że powinienem być inny. Inny...? A cóż to jest ta inność? No po prostu... To znaczy... inny.

Na imię mam Mateusz. Nijakie imię dla zwyczajnego faceta. Mieszkam w małym miasteczku w kujawsko-pomorskim. Matka natura, a może po prostu Pan Bóg obdarował mnie jednym dzieckiem, synem. Dał mi potomka, ale w zamian w całej swej przewrotności odebrał mi żonę. To

była perfidna wymiana – jeden do jednego. Moja Monika umarła, gdy Piotruś – bo tak ma na imię mój syn, – skończył siedem lat.

Wstrętne raczysko dobijało ją powoli. Drenowało jej układ odpornościowy przez dwa lata, jak gdyby testowało jej wolę życia. Do tej pory nie wiem, czy fakt że tak długo się zmagала z chorobą było darem, czy raczej przekleństwem. Jakby nie patrzeć miała czas, aby przywyknąć do tego co było nieuchronne. Z drugiej jednak strony ta ciągła walka z bólem była chyba dla niej istnym przekleństwem. Trudno jest wcielić się w osobę chorą, jeżeli sami nie cierpimy. Wybaczcie proszę, że w ten nieco nieudolny sposób opowiadam, ale niestety nie posiadałem sztuki oratorskiej w dostatecznym stopniu, aby opisać wszystko to co się działo.

Lekarze mamili ją przez cały ten czas optymistycznymi wizjami, które wręcz krzyczały, że wszystko będzie dobrze. To samo słyszałem i ja, gdy odwiedzałem gabinety i prosiłem o szczerą prawdę. Wychodziłem z założenia, że chorego można wprowadzać w błąd, aby podsyć nadzieję i dodać sił do walki z chorobą, ale rodzina ma prawo wiedzieć. Do tej pory nie wiem czy robili to specjalnie, czy może po prostu nie mieli bladego pojęcia jak potoczy się choroba. Najgorsze było ostatnie pół roku. Stan Moniki pogorszył się na tyle, że jej życie toczyło się wokół domu i szpitala. To była jedna wielka wędrówka z miejsca na miejsce. Sam już nie wiem, gdzie częściej przebywała. Uparła się – choć może to i dobrze, – że nie chce iść do hospicjum. Sam nie wiem, czy ja bym chciał?

Musiałem zrezygnować z pracy i znaleźć sobie taką, którą mogłem wykonywać bez wychodzenia z domu. Podobno jestem dobrym księgowym, dlatego nie musiałem długo szukać. Pieniądzy nam nie brakowało, ale nie o dochody mi chodziło. Ktoś, kto osiągnął pewien status finansowy przestaje zwracać uwagę na pieniądze, gdyż one po prostu są. Tak przynajmniej było w moim przypadku. Dzięki moim cechom charakteru udało mi się nie zapętlić w pogoni za mamoną. Po prostu potrzebowałem być w domu, a jednocześnie mieć pewną odskocznnię od tego wszystkiego, co wiązało się z moim życiem. Ucieczka w pracę pozwalała mi nie zwariować.

Na całe szczęście z czasem udało mi się załatwić opiekunkę dla żony, która przychodziła codziennie oprócz niedziel. Po pewnym czasie przychodziła już siedem dni w tygodniu. Po trzech miesiącach przywykliśmy do niej, a ona chyba do nas. Zajmowała się wszystkim tym,

co ja musiałbym robić, aby pielęgnować moją Monikę. Wiem, jak to zabrzmi, ale kamień spadł mi z serca, że wyzbyłem się tych wszystkich obowiązków.

Sam widok chorej doprowadzał mnie niemalże do obłędu. Widziałem jak słabnie, jak choroba odbiera jej siły, jak zniekształca jej rysy twarzy i niemalże całą fizjonomię. Z pięknej i niezwykle zgrabnej kobiety przeistoczyła się w żywą karykaturę człowieka. Ważyła chyba połowę tego co przed chorobą, a jej rumiana cera zmieniła barwę i stała się żółtawa, jak gdyby chorowała na żółtaczkę. Nawet jej długie niegdyś włosy (te, które jeszcze pozostały po chemii) zmieniły barwę z kasztanowatej na niemalże siwe.

Wróćmy jednak do chronologii wydarzeń. Wyprzedziłem fakty mówiąc o jej śmierci, bo to była wtedy najstraszniejsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała. Jesteś z kimś, widzisz go codziennie, rozmawiasz, kochasz się, krzyczysz na niego, śmiesz się i nagle go tracisz. Ten kto nigdy nie stracił ukochanej osoby, nie będzie wiedział o czym mówię. Najgorsza jest ta pustka, której w żaden sposób nie da się zapełnić.

Gdy choroba się rozwinęła odwiedzałem jak zawsze jej pokój, ale za każdym razem, gdy przekraczałem próg czułem się źle. Najchętniej w ogóle bym do niej nie przychodził, ale cóż, byliśmy rodziną, a to zobowiązywało do pewnych rzeczy. Traktowałem to jak uciążliwy obowiązek, a ona chyba się tego domyślała. Chcąc nie chcąc, wpadałem do niej z przeróżnych powodów. Czyniłem to, aby nie czuła się odtrącona lub ignorowana, ale coraz gorzej mi to wychodziło. Często będąc w pobliżu słyszałem jak płacze, a chwilę później złorzeczy. Przeklinała swój los, a także Boga że jej to zrobił. Nie potrafiłem pojąć, gdzie w tak słabym ciele mieściło się tak dużo negatywnej energii. Leki z czasem powoli traciły swoje dobroczynne właściwości. W końcu dobiliśmy do miejsca, kiedy otrzymywała tak silne dawki, że zapadała w mocny sen. Potrafiła wtedy przespać nawet kilkanaście godzin. Wiem, że to było skurwysyństwo z mojej strony, ale cieszyłem się, że tak się dzieje bo wtedy miałem święty spokój. Po pewnym czasie oznajmiła mi, że nie chce więcej spać. Wołała cierpieć, ale być świadoma tego, co się wokół niej dzieje. Wiedziałem doskonale, że nie ma sensu z nią dyskutować. Kiedy jej na czymś naprawdę mocno zależało, to potrafiła być uparta jak przysłowiowy osioł.

- Ty mnie w ogóle nie rozumiesz! – Monika powiedziała podniesionym głosem, o dziwo niemalże nie poruszając przy tym ciałem. Jedyne jej usta zadrgały nieznacznie. Gdyby nie ten fakt, to wyglądałaby jak jakiś brzuchomówca.

- Moniś, spokojnie. Co ja mogę? – próbowałem spokojnie tłumaczyć, ale nie zawsze starczało mi cierpliwości, więc zacząłem się niepotrzebnie denerwować. – Nie atakuj mnie, dziewczyno.

Siedziałem na krześle przystawionym do jej łóżka, w pokoju, który był teraz salą szpitalną w naszym pełnym miłości domu. Czułem się jak katolik, który przyszedł do spowiedzi, ale jest pełen sprzeczności i wątpliwości bo wcale nie odczuwa skruchy.

- Mateusz, ja cierpię – skrzywiła twarz, zapewne dla podkreślenia tego przez co przechodzi. Z jej oczu wypłynęły łzy, a to już było dla mnie za dużo. – Boli mnie.

Złapała mnie za rękę, ale ja delikatnie, acz stanowczo wysunąłem ją z uścisku. Nienawidzę wręcz jak ktoś płacze, no chyba, że w grę wchodzi niewymuszony płacz. W tym przypadku nie wiedziałem, czy aby moja żona nie robi tego specjalnie.

- Myślisz, że tego nie wiem? Boże, kobieto, ja przecież nie jestem lekarzem! Mogę ci tylko podać to co mamy w domu. Wiesz o tym dobrze. Przyjdzie Jola to może wtedy ona temu zaradzi. – Odwróciłem się do niej plecami, zupełnie nie rozumiałem, dlaczego? To miał być jakiś gest z mojej strony albo próba ucieczki? – Ja po prostu nie wiem co robić. Gubię się za każdym razem, jak mam coś zrobić i przez to się wkurzam.

- Wiem Mati, wiem – powiedziała nieco spokojniej. – Widzę przecież, że nie masz dla mnie cierpliwości, ale to nie twoja wina. Jesteś jaki jesteś.

- Nie mam, to prawda – westchnąłem i ponownie zwróciłem się w jej stronę. – Nigdy jej nie miałem, ale to nie znaczy, że się odsuwam od ciebie albo nie dzielę z tobą twojego cierpienia. Wszystko bym oddał, żeby cię nie bolało.

Patrzyłem na moją żonę i było mi jej bardzo, ale to naprawdę bardzo żal. Leżała na tym swoim łóżku, oparta na dwóch grubych poduszkach i patrzyła na mnie z nadzieją. Ubrana w seledynową koszulę nocną, zapinaną pod szyją wyglądała zapewne tak samo źle, jak się czuła. Dwa górne guziki były rozpięte, a z obu stron tego improwizowanego dekoltu zauważyłem kilka tłustych plam. To zapewne pozostałości po posiłkach. Wprawdzie

pielęgniarka karmiła ją z dużą wprawą, ale bywało tak, że to Monice ulewało się z ust, jak małemu dziecku. Cienka kołdra przykrywała ją do pasa, a wszystko to wyglądało żałośnie.

- Tak, tak, Mati. Znam cię i wiem, że jesteś teraz szczery. – Uniosła prawą rękę ku twarzy i wysmarkała nos w chusteczkę, którą trzymała tak bardzo zmiętą, że nawet jej nie zauważyłem.

- Jestem szczery, zawsze byłem – powiedziałem, a w myślach dodałem, że jednak chyba tak nie do końca. Nie chciałem, żeby tak było, ale zawsze musiałem wszystko psuć. Popatrzyła na mnie jakoś tak dziwnie, jak gdyby zdemaskowała moje oszustwo.

- Ja umieram – oznajmiła to, co oboje doskonale wiedzieliśmy. Zamknęła oczy, niczym ktoś, kto się obawia reakcji swojego rozmówcy. Złapałem się na tym, że pomyślałem, że tak będzie wyglądała jak umrze. Zrobiło mi się głupio i tym razem to ja złapałem jej rękę. Nie uniosła powiek, tylko uśmiechnęła się delikatnie w ten swój cudowny, niepowtarzalny sposób.

Do tej pory nigdy o tym nie mówiliśmy i tak było dobrze. Jej słowa wstrząsnęły mną i to dosłownie, bo poczułem drżenie mojego ciała, jak gdyby było mi zimno. Ona wiedziała i ja wiedziałem. Po co więc poruszyła ten temat? Z drugiej zaś strony miała prawo o tym mówić, bo to jej życie zmierzało ku krawędzi, a moim zasranym obowiązkiem było wysłuchanie jej wsparcie w najlepszy możliwy sposób. Chciałem tak postąpić, ale jak zwykle wszystko zepsułem.

- Boże, Monika... – niemalże wycharczałem. Czułem się niczym ktoś komu świat zaraz zawali się na głowę.

- Wszystko bym oddała, aby to nie była prawda. – Spoważniała, otworzyła oczy, a zaraz potem skrzywiła twarz w grymasie, który był marną imitacją uśmiechu, a może raczej subtelnej nadziei. Patrzyła na mnie swoimi zmęczonymi oczami i czekała zapewne na słowa pociechy.

Zsunąłem się z krzesła i przyklęknąłem przy łóżku. Westchnąłem niezwykle ciężko, jak gdybym miał ogromny problem z wypuszczeniem powietrza z płuc i złapałem jej dłoń obiema swoimi. Czułem, że tak właśnie powinienem postąpić. Całe moje życie to była jedna wielka improwizacja, a w tym momencie to wręcz wspiąłem się na szczyt spontaniczności. Teraz jeszcze przyszedł czas, żebym koniecznie coś powiedział, cokolwiek, ale ja miałem w mózgu próżnię.

- Myślę, że to się dobrze skończy, a ty za trzydzieści lat będziesz o tym opowiadała jak o ciekawostce z twojego życia. – Powiedziałem to co mi przyszło do głowy, pocałowałem jej dłoń i spojrzałem w oczy, ciekaw jaką reakcję wywołały moje słowa. Byłem kiepski w pocieszaniu.

- Idź już, Mati – szepnęła wyraźnie zde gustowana i odprawiła mnie ruchem dłoni. Poczułem się jak skopany pies i nie było dla mnie żadnym pocieszeniem, że ona przeżywała to jeszcze gorzej.

Ileż to razy zastanawiałem się, dlaczego świat jest taki dziwny. Niby jest prosty w działaniu i jest w nim porządek, bo przyczyna nieustannie poprzedza skutek, ale czy zawsze tak jest? Otóż w moim przypadku było trochę inaczej, gdyż najpierw zrozumiałem czym jest skutek, a dopiero później rozszyfrowałem szczegóły przyczyny. Od dłuższego czasu, chyba od momentu, kiedy u Moniki wykryto chorobę zacząłem podejrzewać, że coś jest nie tak, ale tym razem ze mną. Czułem pewną subtelność, ulotną wręcz różnicę, ale nie potrafiłem zdiagnozować, co to może być. Coś się zmieniało we mnie i w najbliższym otoczeniu, a ja nie potrafiłem rozgryźć problemu. Miałem kłopoty ze snem, a gdy wreszcie zasypiałem, to śniłem rzeczy z pogranicza fantazji, a może wręcz wariactwa. Nie zamierzam ich opisywać, a przynajmniej nie na tym etapie, bo uważałem je za pochodne tego przez co przechodziłem ja i moja rodzina. Za jakiś czas pojąłem jednak, że należało przypisać im większe znaczenie gdyż były jak rysy na płaszczyźnie mojej osobowości. Wiedziałem, że mam problem, ale to było tylko preludium do tego, żeby zrozumieć, że sam sobie z tym nie poradzę.

W końcu się przełamałem i w tajemnicy przed żoną zapisałem się na wizytę u psychiatry. Nie ma sensu zgłębiać tematu, dlatego powiem tylko że specjalista przepisał mi leki, które miałem systematycznie zażywać, Bóg raczy wiedzieć jak długo? Do tej pory nie wiem, czy dobrze zrobiłem? Czy te paskudztwa, którymi się faszerowałem, pomogły mi i zepchnęły mnie ze ścieżki na którą się pchałem, czy wręcz przeciwnie? To są pytania w stylu, „*co by było, gdyby*” i jest oczywistym, że nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi.

Zapomniałem wspomnieć, że nasz Piotruś miał na Monikę niezwykle kojący wpływ. Ilekroć się u niej pojawiał, natychmiast jej stan się zmieniał. Wyglądało to tak, jak gdyby spływało na nią jakieś ukojenie, objawienie,

czy diabli wiedzą co? Potrafiła z nim normalnie rozmawiać, żartować i nawet ćwiczyć w ramach jego rehabilitacji. Spotkania kończyły się w momencie, gdy syn czuł się zmęczony albo raczej wynudzony. Było oczywistym, że chciałem, aby te wizyty trwały jak najdłużej. Próbowałem mu tłumaczyć, co się dzieje z jego mamą, ale był zbyt przekorny lub ograniczony aby to ogarnąć. Z chwilą, gdy tylko Piotruś wychodził od niej, wszystko się sypało jak domek z kart.

Jolanta Okrusz (opiekunka Moniki, o której wcześniej wspominałem) nie miała więcej niż trzydzieści lat i była dość ładna. Nie była jednak piękną, bo jej uroda znamionowała pospolitość, ale za to miała w sobie to coś. Niektórzy nazywają to seksapilem, ale ja nie wiem, czy to właściwe określenie. Była raczej chuda niż zgrabna i miała niewielkie piersi. W przeciwieństwie do Moniki miała krótkie włosy. Nie znam się na tym, ale chyba farbowała je, gdyż spośród kruczoczarnych można było przy dokładniejszym przyjrzeniu dostrzec nieco jaśniejsze odrosty. Miała bezsprzecznie piękne, piwne oczy i długie rzęsy, ale za to usta zbyt małe w stosunku do reszty twarzy. Sam tak naprawdę do końca nie wiem, co mnie w niej pociągało?

Podobno jej małżeństwo okazało się niewypałem i rozwiodła się po dwóch latach, a związek nie zaowocował dziećmi. Była doświadczoną pielęgniarką i miała właściwe podejście do Moniki. Nie wiem, czy to był profesjonalizm, czy może raczej powołanie? Wiadomo, że w niektórych zawodach powołanie jest niezbędne, aby dobrze wykonywać swoją pracę. Muszę szczerze przyznać, że z początku traktowałem ją jak zwykłego pracownika, którego po prostu zatrudniłem. Łączyły nas tylko służbowe relacje, nic poza tym. Z czasem jednak zacząłem dostrzegać w niej kobietę. Następnym etapem było to, że począłem za nią wodzić wzrokiem i często zastanawiałem się co ona teraz robi, gdy przebywała w innym pomieszczeniu.

Tak jak wcześniej omijałem pokój Moniki, tak z czasem zaczynałem go odwiedzać coraz częściej. Wtedy nie widziałem w tym nic zdrożnego. Tłumaczyłem sobie, że po prostu przychodzę dla żony, aby dowiedzieć się, co tam u niej. Tak naprawdę przychodziłem dla mojej „uroczej Jolci” – jak ją w myślach nazywałem.

Mój kontakt z żoną zwykle ograniczał się do kilku zdawkowych zdań, pytań, banalnych opowieści, a później już tylko było wodzenie wzrokiem

za pielęgniarką. Zachodziłem wtedy w głowę, czy ona wie, że mi się podoba? Podobno kobiety potrafią takie coś wyczuć, ale czy to prawda? Gdy snulem takie rozważania, to nawet przez myśl mi nie przeszło, że przecież Monika również jest kobietą i też może posiadać identyczny dar. Powinienem był wiedzieć, że żadna choroba nie potrafi stłumić tego co biologia dała nam niejako w prezencie. Wiadomo, że wszystkie stworzenia rodzą się z zaprogramowanym instynktem, ukierunkowanym na różne aspekty życia.

Wcześniej uważałem, że moją Monikę dobijał fakt, że nasz synek miał autyzm. Z czasem jednak pojąłem, że moja diagnoza była nieco samolubna i chyba mylna. Przecież to dzięki temu, że nasze dziecko było chore ona zyskiwała dodatkowe pokłady energii i silnej woli, aby wytrzymać i dalej walczyć. Po jakimś czasie, gdy już nas opuściła i odeszła do lepszego świata dotarło do mnie, że to ja jestem winny śmierci mojej żony. Skróciłem jej życie swoim zachowaniem, a ona na to w najmniejszy sposób nie zasługiwała. Mogłem jej pozazdrościć uczuć, bo ona kochała nasze dziecko bez względu na to, czy było chore czy nie, a u mnie było z tym różnie. Moje uczucie osłabło kiedy dopadła ją choroba, bo nie mogła mi dać tego, co dostawałem od niej gdy była zdrowa.

Autyzm! To cholerstwo zdiagnozowano u Piotrusia, gdy dzieciak miał cztery lata. To był prawdziwy szok, tak dla mnie jak i dla mojej żony. Do tamtego czasu wychodziliśmy z założenia, że mamy zdrowe dziecko. Było może troszeczkę ekstrawaganckie – o ile można użyć takiego określenia w stosunku do dwu lub trzylatka? – ale nic poza tym. Alarm pojawił się, gdy syn nadal z uporem maniaka nie zamierzał wypowiedzieć żadnego, dosłownie ani jednego słowa. Rozpoczęły się dociekania i wizyty u specjalistów. W końcu pojawiła się diagnoza: autyzm. Oczywiście żadne z nas nie miało bladego pojęcia, o co chodzi? Z czasem pogłębialiśmy swoją wiedzę i nawet zajęliśmy się terapią naszej pociechy. Niestety gro obowiązków spadało na Monikę bo ja pracowałem, ale ona była tak zaabsorbowana, że nie narzekała a przynajmniej nie robiła tego głośno.

Nigdy nie zapomnę dnia, gdy dowiedziałem się, że zostanę ojcem. To był zwyczajny, przeciętny dzień, jakich wiele i nic nie wskazywało, że okaże się szczególnym, wręcz przełomowym. Zapamiętałem nawet, że

wtedy była brzydka pogoda, a ja byłem w wisielczym nastroju bo dzień wcześniej w pracy dostałem ochrzan od szefa.

- Jestem w ciąży – Monika zakomunikowała mi śpiwnym głosem radosną nowinę, gdy tylko przekroczyła próg pokoju, a jej twarz była niesamowitym, pozytywnym blaskiem. Szczerze mówiąc zaniemówiłem, kiedy usłyszałem te słowa.

To było tak dawno temu, a ja pamiętam wszystko, jakby to wydarzyło się wczoraj. Siedziałem wtedy w fotelu i czytałem Przegląd Sportowy. Oczywiście wiedziałem co to znaczy, ale sens tych słów zablokował moją zdolność do logicznego myślenia. Automatycznie, bez odrywania od niej spojrzenia odłożyłem gazetę i powoli wstałem. Czułem przypływ adrenaliny i chyba ten właśnie hormon sprawił, że moje ciało zaczęło drżeć, jak gdyby dopadła mnie fala zimna.

Monika stała nieruchomo i wyraźnie czekała na moją reakcję. Choć byliśmy małżeństwem od sześciu lat, to do tej pory nie dane nam było zostać rodzicami. Rok po ślubie oznajmiła mi – tak jak i teraz – że jest w ciąży, ale niestety poroniła po kilku tygodniach. Bardzo to przeżyliśmy i zdawało nam się, że cały świat zwrócił się przeciwko nam. Żona była rozbita i wpadła w depresję, a ja nie potrafiłem jej pomóc. Bardzo chciałem, ale niestety odnosiłem wrażenie, że to właśnie mnie wini za to nieszczęście. Wówczas przegoniłem z głowy negatywne wspomnienia i powróciłem do chwili obecnej.

Nie wiedzieć dlaczego oderwałem wzrok od jej twarzy i skupiłem całą uwagę na jej ubraniu. Wyglądała prześlicznie w tej zielonej sukience. Nie znałem się zupełnie na modzie, ale ten strój robił na mnie piorunujące wrażenie. Nie rozumiałem, dlaczego, ale zebrało mi się na ocenianie urody mojej żony.

Miała regularne rysy twarzy i piękne długie włosy. Choć nie była wysoka, to jednak miała bardzo zgrabną figurę, a jej piersi były wręcz idealne. W sumie to byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu i kiedy wkładała swoje ulubione czerwone szpilki, to budziła u mnie uśpione kompleksy. Nigdy się nie skarżyłem, ale ona chyba o tym wiedziała bo zwykle chodziła w płaskim obuwiu. W sumie to nie wyglądała na swoje 32 lata. Miała jędrną gładką skórę i dziewczęcą buzię. Pamiętam jak się śmialiśmy, gdy wróciła oburzona ze sklepu bo sprzedawca zażądał od niej dowodu osobistego, gdy chciała kupić butelkę wina. W moim przypadku

było na odwrót. Byłem od niej starszy o trzy lata, ale chyba wyglądałem na czterdzieści, tak mi się przynajmniej zdawało.

- Patrzysz na mój brzuch, dzieciorobie? – zachichotała.

- Tak, pani Balińska. To chyba naturalne, że patrzę akurat w to miejsce.

– Zrobiłem niewielki krok w jej stronę.

- Jeszcze za wcześnie, to dopiero drugi miesiąc, głuptasie.

- A skąd w ogóle wiesz, że jesteś? – wycharczałem i zaraz odchrząknąłem. – No, w ciąży – szybko dodałem.

- Cyganka mi powiedziała – odparła, a jej twarz spoważniała.

- Kto?! Jaka, do cholery cyganka?! – reaguję podniesionym głosem i cofam gwałtownie głowę, jak gdyby ktoś mnie spoliczkował.

- O Boże, Mati, nie wygłupiaj się. Byłam u ginekologa z samego rana – ton jej głosu zmienił się na stonowany.

Uznałem, że chyba nie takiej reakcji oczekiwała, ale ja byłem spontaniczny i nie było w moim zachowaniu ani krzty wyrachowania i logiki. W końcu nie takiej wieści się spodziewałem, kiedy usłyszałem klucz w zamku. Tym bardziej, że gdy rano wychodziła to nic nie wspomniała o wizycie.

- Nie mówiłaś, że idziesz się przebadać – stwierdziłem nieco obrażony.
– To pewne?

- To tak się cieszysz, że zostaniesz tatą? – tym razem to ona zapytała urażonym tonem, a ja nie wiedziałem czy się ze mną droczy, czy rzeczywiście jest na mnie zła.

- Boże, Monika... jak możesz myśleć, że się nie cieszę? Będę ojcem! Chryste, to najszczęśliwszy dzień w moim życiu! – Rozłożyłem ramiona i ruszyłem w jej stronę z uśmiechem na ustach. Pod powiekami poczułem wilgoć i pomyślałem, że za moment się popłaczę. Ku mojemu zaskoczeniu Monika wystawiła obie dłonie w obronnym geście i cofnęła się o krok.

- Spokojnie, rycerzu. Teraz musisz o mnie dbać i żadnych mocnych uścisków. Rozumiesz chyba, że od teraz będzie trochę inaczej. – Kończąc krótki wykład wpuściła na swoją twarz delikatny uśmieszek.

- Ale uszy dasz mi chyba jeszcze dorobić mojemu synusiowi? – zażartowałem.

- Jeszcze nic nie wiadomo jakiej będzie płci, no i żadnego seksu. – Pokiwała palcem na boki i jeszcze szerzej się uśmiechnęła.

- Żadnego? – zrobiłem minę cierpiętника i powoli podszedłem bliżej. Objąłem ją delikatnie, przytuliłem i szepnąłem do ucha. – Nic a nic, kochanie? Ani tyci, tyci?

- No może troszeczkę – odpowiedziała śmiejąc się i pocałowała mnie namiętnie.

Za każdym razem ilekroć nawiedzało mnie to wspomnienie, lżej mi się robiło na duszy. Dziwne jest, jak skomplikowana jest nasza psychika. Dlaczego tak jest, że wspomnienia sprzed lat potrafią wpływać na naszą teraźniejszość? Jak gdyby te dwa czasy były ze sobą powiązane niewidzialną nicią. Bywa też tak, że doskonale pamiętamy rzeczy banalne, fakty bez znaczenia, a nie możemy sobie przypomnieć jaką twarz miała, na przykład nasza kuzynka, w której się podkochiwaliśmy, pomimo że była dla nas bardzo ważna.

Wróćmy jednak do moich relacji z pielęgniarką. Wraz z mijającym czasem podczas wizyt u chorej poświęcałem jej coraz mniej czasu. Po prostu nie miałem już o czym z moją żoną rozmawiać, a i ona nie była specjalnie skora do dyskusji. Najwidoczniej ciężar choroby odebrał jej ochotę do rozmów ze mną. Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, co może za tym stać? Tak było wygodniej dla mnie i chyba w ten sposób tłumilem u siebie wyrzuty sumienia. Miałem nieuleczalnie chorą żonę, autystycznego syna, a oglądałem się za inną. Wiedziałem oczywiście, że to jest chore, ale to było silniejsze ode mnie. Uważałem, że to jest naturalny odruch odrzuconego kochanka. Dokładnie, tak właśnie wówczas myślałem. W końcu nie było już w naszym związku miejsca na czułości, nie wspominając o seksie, a ten aspekt życia zawsze był dla mnie niezwykle ważny. Byłem świadomy kim się staję, ale nic sobie z tego nie robiłem. Czasami gdy człowiek zauważa, że jest zwykłym gnojem, to jego poczucie własnej wartości maleje. U mnie było inaczej. Pyszniłem się jak ten paw, aby tylko Jolanta mnie zauważyła i zwróciła wreszcie na mnie uwagę.

Z czasem zacząłem dostrzegać u naszej pielęgniarki pewne zmiany w zachowaniu. Z początku łapałem ją na tym, że zerka w moją stronę, kiedy myśli że tego nie widzę. Później, gdy na przykład mijaliśmy się w przejściu i nasze spojrzenia się spotykały, nie odwracała oczu, jak robiła wcześniej. Traktowałem te sygnały, jako zachętę z jej strony. Coraz częściej było tak, że gdy Piotruś był w przedszkolu, a Monika spała, to siadaliśmy w innym

pokoju i dyskutowaliśmy na różne tematy. Musieliśmy przy tym zachowywać konspirację, co tylko dodawało smaczku naszym spotkaniom. Czułem się wówczas jak nastolatek, który potajemnie spotyka się z dziewczyną. Wreszcie stało się to, na co czekałem. Spróbowałem ją pocałować, a ona nie odwróciła głowy i nasze usta się spotkały. Pocałunek był delikatny i niezwykle krótki, ale oboje wiedzieliśmy że furtka została otwarta.

Gdy Monika poczuła się gorzej i poszła do szpitala, Jola odwiedzała już tylko mnie i wówczas zrodziła się pomiędzy nami namiętność, której mocy bym się po sobie nie spodziewał. Uciekała ode mnie w momencie, gdy musiałem odbierać Piotrusia z przedszkola. Wtedy na powrót stawałem się wzorcowym w swoim mniemaniu ojcem i głową rodziny. Żona na własne życzenie wypisała się po tygodniu i pielęgniarka miała powód aby ponownie odwiedzać nasz dom, ale tym razem oficjalnie. Wtedy to po raz pierwszy przekroczyłem nieprzekraczalną granicę i pożałowałem, że Monika ponownie jest z nami. Pomysł, że lepiej by było, gdyby już umarła zjawił się nagle i natychmiast został przepędzony z mojej głowy przez sumienie, które chyba jeszcze miałem.

I w końcu nastąpiło, co nastąpić musiało. Jak zwykle siedziałem na krześle w pokoju Moniki i obserwowałem, jak Jola karmi moją żonę lekkostrawnym rosołem. Żona jadła powoli, z móżdżkiem i widać było, że przełykanie sprawia jej trudność. Nie to mnie jednak interesowało, całą uwagę miałem bowiem skupioną na ruchach kobiety, która ją karmiła. Delektowałem się płynnością jej ruchów, jak z niezwykłą gracją podnosi pełną łyżkę i bez ulania nawet kropli kieruje ją do ust chorej. W pewnym momencie Monika zaczęła kręcić głową na boki, co oznaczało, że ma już dosyć.

Patrzyłem jak Jola wynosi talerz do kuchni, a później usłyszałem, że chyba opłukuje go pod bieżącą wodą. Spojrzałem na łóżko i zobaczyłem, że Monika przekręciła głowę w moją stronę i patrzy na mnie, uśmiechając się przy tym życzliwie, wręcz z czułością. Coś we mnie, gdzieś w środku poruszyło się i poczułem potrzebę aby wstać, podejść do niej i pocałować ją. Jak postanowiłem, tak uczyniłem. Kiedy moje usta oddalały się od jej czoła usłyszałem, że mnie kocha. Nogi się natychmiast pode mną ugięły, a w gardle poczułem kluchę. Pogłaskałem ją z czułością po głowie i to było wszystko, na co się zdobyłem. Coś się stało z moimi kanalikami łzowymi i

niespodziewanie dla siebie zauważyłem, że płaczę. Wyszedłem szybko z pokoju i skierowałem kroki do innego, gdzie miałem dobrze zaopatrzony barek. Setka wódki natychmiast postawiła mnie na nogi i ponownie mój umysł zaczął normalnie pracować. Tego dnia już więcej nie zaszedłem do swojej żony.

Na drugi dzień wypadała sobota. Nie miałem nic do roboty, dlatego z samego rana wybrałem się z Piotrusiem do schroniska dla zwierząt. Od dawna kiełkował we mnie pomysł, aby adoptować psa. Coś mi mówiło, że obecność czworonoga korzystnie wpłynie na stan i samopoczucie syna. Piotruś został wtajemniczony i co oczywiste był wniebowzięty, ale żona miała do końca pozostać nieświadoma. Kiedy opuszczaliśmy mieszkanie, Monika spała w najlepsze. Wprawdzie zostawiliśmy ją samą, ale Jola miała przyjść za jakiś czas. Była 8:45, gdy dotarliśmy do schroniska. Teren był podzielony na dwie części, ale nas koty nie interesowały, dlatego od razu skierowaliśmy kroki w stronę, z której dochodziło szczekanie.

Kluczyliśmy obydwoj, powoli spacerując pomiędzy boksami dla psów. Wokół słyhać było ujadanie, a poza tym w powietrzu unosił się typowy zapach zwierząt. Były takie momenty, że aż dusiło, ale Piotruś nie narzekał więc i ja nie kaprysiłem. Co chwila zatrzymywał się i pytał, czy ten pies może być? Chyba dopiero przy dziesiątym razie mój gust pokrył się z jego.

Staliśmy przed pomieszczeniem, a zaraz za metalowymi prętami leżał i patrzył na nas śliczny piesek. Jego ogon nonszalancko zamiatał betonową posadzkę i odnosiło się wrażenie, że macha nim niejako z urzędu. Nie znam się na rasach, ale wydało mi się, że to mieszaniec. Pies był całkiem sporych rozmiarów, ale z racji tego, że leżał to trudno było określić, jak jest duży. Przywołałem pewną tęgą panią, która sprzątała pomieszczenie obok i zapytałem o naszego wybranka.

- Oto nasz Kopciuch – kobieta odpowiada i uśmiecha się szeroko.

- Kopciuch? – dopytuję. – Co to za imię?

- Imię jak imię. Tak go nazwano chyba z przewrotności, bo jest biały jak śnieg.

Odwracam głowę, aby się przekonać czy mówi prawdę. Rzeczywiście, jak mogłem nie zauważyć, że jego sierść jest śnieżnobiała? Sekundę później ponownie spoglądam na kobietę. Jej oczy się śmieją, jak gdyby krzyczały

że jestem idiotą, skoro tego nie dostrzegłem. Wzruszam w myślach ramionami i dalej ciągnę rozmowę.

- Chcielibyśmy czegoś się dowiedzieć o tym psiaku, bo przypadł nam do gustu. Prawda, Piotruś? – zwracam się do syna, który nie odrywa wzroku od Kopciucha. Jediną odpowiedzią jest machnięcie ręką, które może znaczyć cokolwiek.

- Co pan chce wiedzieć? Hm?

- Sam nie wiem – stwierdzam nieco bezradnie. – Może... jaki jest stary? Czy aby nie jest agresywny? No i takie tam. Robi w domu, czy na dworze? No wie pani... załatwia się w mieszkaniu?

- A pan to chce zwierzaka czy robota? – Kobieta kładzie dłonie na biodrach i spogląda na mnie dziwnie. – Podobno Japończycy już robią takie robotyczne psy.

- Wiem, o co pani chodzi – oznajmiam szybko. – Ja nie z tych, co to po miesiącu oddają zwierzaka z powrotem. Po prostu jestem ciekawy.

- Panie kochany. Kopciuch to prawdziwy słodziak i co najważniejsze jest cierpliwy, co w pana przypadku jest nie bez znaczenia. – Kończy i wskazuje głową na psa, a może na Piotrusia, który już zdążył podejść bliżej i wsunąć rękę do środka. Pies teraz siedział blisko ogrodzenia i lizał jego dłoń, co chyba mu się podobało bo syn nie cofnął ręki i coś tam do siebie pod nosem komentował na swój sposób.

- Widzi pani... mam chorą żonę i chorego syna – zebrало mi się na zwierzenia. – Nie chcę agresywnego psa i nie chcę szczekacza, bo oboje potrzebują spokoju. No, ale na szczęście nie mieszkam w bloku, tylko w domku jednorodzinnym. Mamy ogród, co chyba jest dobre dla psa.

- Kopciuch jest idealny – stwierdza kobieta, a jej oczy robią się teraz bardzo poważne. – Jest jeszcze młody, ma dopiero dziewięć miesięcy a więc da się jeszcze wychować. A tylko od pana zależy, jakiego psa będzie pan miał w domu.

- Ech... – wzdygam, sam nie wiem dlaczego?

- Proszę pana, w każdym domu jest potrzebny jakiś zwierzak – kobieta zaczyna wyjaśniać tonem belfra, co niezbyt mi się podoba. – To od razu zmienia, poprawia atmosferę i wpuszcza całą masę pozytywnej atmosfery do domowego miru. Miał pan może kiedyś psa?

- Tak, w dzieciństwie, droga pani.

- No to wie pan, że mam rację. Ja nie mam czasu na dalsze wyjaśnienia bo mam mnóstwo roboty, ale jak pan go chce, to niech pan pójdzie do tamtego baraku – wskazuje kierunek – i powie, że chodzi o Kopciucha. Formalności to banalna sprawa. Raptem jeden podpis i kilka papierków. – Ooo, no i proszę, pana chłopak już się z nim zaprzyjaźnił. Pasują do siebie – dodaje odchodząc.

Spoglądam w stronę kojca i widzę mojego syna, który trzyma już teraz obie ręce wewnątrz kojca i nieco chaotycznymi ruchami tarmosi szyję i łeb psa, a Kopciuch porusza ciałem niczym pijany tancerz i widać, że jest przeszczęśliwy. W pierwszym odruchu chcę zawołać, aby Piotruś odsunął się na bezpieczną odległość, ale coś mi mówi że nic mu nie grozi.

- Piotrek, bierzemy go? – pytam retorycznie bo doskonale wiem, jaka będzie odpowiedź.

- Jasne, tato. On jest super!

Banalne sprawy zajęły nam sporo czasu, bo wszędobylska biurokracja zażądała daniny. Godzinę później wychodziliśmy ze schroniska w powiększonym gronie. Piotruś trzymał psa na smyczy, a ten o dziwo nie wyrывał się i nawet nie szarpał, jak gdyby wiedział, że jego nowy pan nie ma zbyt wiele siły. Syn był przeszczęśliwy. Dawno go nie widziałem w takim stanie. Ja natomiast idąc zastanawiałem się, jaka będzie reakcja żony, gdy zobaczy naszego nowego współlokatora? Oczywiście w całej swej przewrotności zapomniałem wcześniej opowiedzieć jakie mamy plany (tak przynajmniej siebie tłumaczyłem). Wiedziałem, że Monika lubi zwierzęta, ale co innego lubić, a co innego posiadać.

Gdy weszliśmy do mieszkania w powietrzu unosił się apetyczny zapach gotowanej potrawy. Nie byłem w stanie rozszyfrować, co to? ale pachniało nieziemsko. Zapomniałem dodać, że mieszkaliśmy w domku, który postawił mój tata zanim umarł na zawał. Odszedł jeszcze przed naszym ślubem i nie dane mu było poznać synowej, a tym bardziej wnuka. Z mamą było trochę inaczej. Odeszła i zostawiła nas, bo jakiś szalenię postanowił usiąść za kierownicą po pijanemu i rwać na złamanie karku. Teraz jednak nie będę się rozgadywał na temat domu i rodziców, a skupię się na rzeczach, o których zacząłem opowiadać.

Piotruś uwolnił psa, jak tylko przekroczył próg, a Kopciuch rozpoczął typowy dla swego gatunku rytuał obwąchiwania wszystkich kątów. Mój syn

w duecie ze swoim psem tworzyli teraz nierozłączną parę. Natychmiast zniknęli mi z oczu, ale co chwila słyszałem, jak Kopciuch otrzymuje wskazówki od swojego nowego pana. Poczułem się szczęśliwy, jak gdyby do tej pory do pełni szczęścia brakowało mi właśnie psa. Nieco nieporadnie zdjąłem buty i skierowałem kroki do pokoju Moniki, aby powiedzieć jej o nowym członku rodziny, zanim ona sama ujrzy go w towarzystwie naszego syna. Drzwi były przymknięte, ale w kuchni ktoś przebywał. Pielęgniarka powinna przyjść dopiero za godzinę, a więc uznałem, że to Monika wzięła się za obowiązki domowe. Trochę nie chciało mi się wierzyć, że poczuła się na tyle dobrze, żeby to robić, ale taka była pierwsza myśl.

W głowie natychmiast pojawiła się koszmarna myśl, że ludziom ciężko chorem poprawia się stan zdrowia na krótko przed śmiercią. Natychmiast zbeształem siebie w myślach. Jak mogłem w ogóle wziąć coś takiego pod uwagę? Zaciekawiony zajrzałem do kuchni. Ku mojemu zaskoczeniu ujrzałem zamiast Moniki jej opiekunkę. Stała odwrócona do mnie plecami i kręciła metalową chochelką w garnku pełnym zupy. Z naczynia unosił się słup pary, rozchodząc się na boki proporcjonalnie do wysokości.

Nasza pielęgniarka, kucharka, opiekunka, sprzątaczką i Bóg raczy wiedzieć kto jeszcze, była ubrana w zieloną bluzkę z krótkimi rękawkami i beżową spódnicę do kolan. Na nogach miała rajstopy albo pończochy w brązowym kolorze, a na prawej łydce puściło jej oczko. Chyba nie wiedziała o tym, bo na pewno by coś z tym zrobiła. Przełknąłem ślinę, gdyż poczułem się, jak gdybym przyłapał ją na czymś niestosownym.

- Dzień dobry – powiedziałem niezbyt głośno, bo nie byłem pewny, czy Monika aby nie śpi.

- A, to ty. Dzień dobry – Jola odwróciła się w moją stronę. Na jej twarzy odbijało się zaskoczenie, ale wkrótce życzliwy uśmiech zajął należne mu miejsce. – Przyszedłam wcześniej, bo nie miałam nic do roboty. Zaczęłam gotować, bo Monika jeszcze spała.

- Nadal śpi? – zapytałem, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Nie wiem, ale zajrzę do niej bo czas na lekarstwa.

Zmniejszyła gaz i przykryła garnek pokrywką. Ruszyła w moją stronę z dłońmi uniesionymi na wysokość twarzy. Wyglądała jak chirurg, który szykuje się do operacji. Nadal stałem w wejściu, a ona zamierzała przez nie przejść. Jakoś nie przyszło mi do głowy, aby zrobić miejsce, dlatego przechodząc obtarła się piersiami o moje ciało. Popatrzyła mi w oczy i

uśmiechnęła figlarnie, jak gdyby chodziło o jakiś żart z jej strony. Sekundę potem ruszyłem za nią.

Wszedłem akurat w momencie, gdy pochylała się nad Moniką i poprawiała jej poduszkę. Pomieszczenie, w którym przebywała żona zatraciło już dawno temu swój ciepły klimat. Teraz już tylko spełniało charakter izby dla chorej. Łóżko, szafa, taboret, stoliczek, telewizor na ścianie i para krzeseł, to było wszystko. Nie zauważyły mnie, dlatego po cichu przysiadłem na krześle i spróbowałem zastanowić się, jak powiedzieć o psie, żeby żona się nie zdenerwowała.

- Obiad prawie gotowy, Monisiu – Jola zwracała się do mojej żony po imieniu. Byłem tym trochę zaskoczony, bo nie wiedziałem, że są na ty. – Dam ci tabletki, a za godzinkę spróbujesz coś zjeść. Ugotowałam pyszną zupę kalafiorową – kontynuowała.

- Oki – Monika dodała do tego zwrotu przytaknięcie, jakby obawiała się, że same słowa nie wystarczą. – Domyśliłam się po zapachu. Jeżeli będzie smakować jak pachnie, to będę w siódmym niebie. – Spojrzała w moją stronę i uśmiechnęła nieznacznie.

- Cześć – szepnąłem i uniosłem dłoń w powitalnym geście. Odkiwnęła głową w odpowiedzi, a ja szybko kontynuowałem, bo przypominałem sobie o Kopciuchu. – Nie wiem, czy ci się to spodoba, ale mamy z Piotrusiem dla ciebie niespodziankę.

- Co takiego? – zagadnęła i przybrała pytający wyraz twarzy.

Już miałem powiedzieć o psie, gdy niespodziewanie biały kształt wpadł do pokoju, niemalże ciągnąc za sobą przeszczęśliwego Piotrusia. Obie kobiety, na które przed momentem patrzyłem poderwały się jak na komendę, reagując nerwowo. – Co to? – zawołała Monika, a Jola wezwała Boga na pomoc.

- Mamo, mamy psa! – Piotruś w jednym krótkim zdaniu zmieścił wszystko, co mnie zapewne zajęłoby kilka minut.

Monika miała rozbiegany wzrok i widać było, że próbuje zebrać myśli. Jola za to zareagowała bardziej spontanicznie. Przykucnęła obok łóżka, złapała psa za jego kudłaty łeb i szybko powiedziała: – Boże, jaki on rozkoszny. Monisia, czyż on nie jest piękny?

Pies natychmiast wyrwał jej się, cofnął i zaczął warczeć.

- Pewnie, że piękny – syn podzielił jej entuzjazm, ale teraz wszystko zależało od Moniki.

Nie odzywałem się. Nie wiedziałem jaką decyzję podejmie. Psa można było w każdej chwili oddać. Na pewno najadłbym się przy tym wstydu, ale jakoś bym to zniósł. Gorzej by było z Piotrusiem. Monika musiała też mieć w głowie opinię naszego syna, bo wreszcie po kilkunastu sekundach podniosła dłoń i pogłaskała się po prawie łysej głowie. – Niech zostanie – wyszeptała i opadła ciężko na poduszkę, jak gdyby ta decyzja kosztowała ją mnóstwo energii. Uśmiechnąłem się zadowolony i wyszedłem z pokoju. Usłyszałem bulgotanie w kuchni. Wszedłem tam i wyłączyłem gaz. Patrząc na garnek pomyślałem o karmie dla psa.

Niecałą godzinę później wróciłem do domu z wielką paczką, a właściwie workiem psiej karmy. Piotruś z Kopciuchem zamknął się w swoim pokoju, a Monika zasnęła. Jolę zastałem w kuchni. Siedziała na taborecie przy kuchennym stole i popijała kawę z białej filiżanki. Wyglądała na bardzo zmęczoną i zrezygnowaną.

- Śpi – oznajmiła bezosobowym tonem i ciężko westchnęła. Nawet przy tym na mnie nie spojrzała.

- To chyba dobrze. Sen jest najlepszym lekarzem – spuentowałem w swoim mniemaniu jak zwykły kretyń i położyłem worek na podłodze.

- Niestety, jej już żaden lekarz nie pomoże. – Popatrzyła na mnie, a w jej oczach zobaczyłem olbrzymi smutek. – Boże, Mateusz, nie masz człowieku pojęcia, jak mnie jest jej... was żal.

Po tych słowach odstawiła naczynie i ruszyła w moją stronę. Wiedziałem, że nie chodzi o wyjście z kuchni i że bezsprzecznie coś zamierza zrobić. Obejrzałem się przez ramię, aby się upewnić, czy na pewno jesteśmy sami. Podeszła do mnie i zaczęła płakać. Patrzyła mi w oczy, a spod powiek ściekały dwie stróżki łez. Nie miałem bladego pojęcia, co powinienem zrobić? Sytuacja była co najmniej niezręczna. Mieliśmy romans i gdy uprawialiśmy seks na łóżku, które zwolniła Monika – kiedy pojechała do szpitala – to nie miałem skrupułów ani wyrzutów sumienia, a teraz nagle coś mi się poprzestawiało.

- Tak mi was wszystkich żal – szepnęła i przytuliła się.

Odruchowo objąłem ją ramionami i zamknąłem oczy. Czułem, jak jej łzy przesiekają przez materiał bluzki na moim ramieniu. Pociągnęła głośno nosem i poruszyła się. Nadal miałem oczy zamknięte, dlatego to co zrobiła zaskoczyło mnie. Jej usta zetknęły się z moimi, zrazu delikatnie, a później coraz namiętniej. Poczułem jak jej język rozchyła mi delikatnie zęby, aby

dostać się głębiej. Uległem pokusie i odwzajemniłem namiętność. Usłyszałem jakiś szmer, ale nie zwróciłem na to większej uwagi. Być może uznałem, że to Piotruś bawi się z Kopciuchem. Po kilkunastu sekundach coś mi jednak nakazało spojrzeć w bok. Chyba jeszcze nigdy nie byłem tak zaskoczony. Dosłownie dwa metry od nas stała Monika i patrzyła na nas. Nie poruszała się, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, za to jej oczy przeskakiwały chaotycznie ze mnie na Jolę i z powrotem, jakby nie mogła się zdecydować na kim skupić uwagę. Odruchowo odsunąłem Jolę od siebie i obróciłem ją w stronę mojej żony. Jola nie od razu zrozumiała, co się dzieje. Przez chwilę stała z opuszczonymi ramionami, które symbolizowały bezradność, a na jej twarzy „wreszcie” zagościło zaskoczenie. W końcu i ona dostrzegła, kto obok nas stoi.

- O Jezu! – pisnęła, po czym opuściła głowę i szybkim krokiem przemknęła obok mnie i Moniki.

Zbaraniałem zupełnie. Nie wiedziałem, co zrobić? Pobiec za Jolą i spróbować ją zatrzymać, czy raczej podejść do mojej żony i w jakikolwiek sposób spróbować się usprawiedliwić. Z korytarza dochodziły chaotyczne dźwięki i niezrozumiałe słowa. Wiedziałem, że Jola ubiera się w pośpiechu, a właściwie to w panice i zapewne ma problemy z założeniem butów. Dopiero, gdy drzwi trzasnęły, a ja usłyszałem przyspieszone kroki zebrałem się na odwagę i spojrzałem na Monikę. Nie wiem jaki wyraz twarzy miałem, ale z jej nie potrafiłem niczego wyczytać. Myślę, że staliśmy tak około minuty patrząc na siebie. Żadne z nas nie wypowiedziało ani jednej głoski, jakbyśmy zatarcili dar mowy. Z tego odrętwienia wyrwało nas pojedyncze szczeknięcie, które dobiegło z pokoju Piotrusia. Sekundę później drzwi od jego pokoju otworzyły się, aby wypuścić obydwójce. Wpadli z impetem do kuchni, niemalże przewracając taboret, na którym wcześniej siedziała Jola. Piotruś zobaczył worek, który przytaszczyłem i podskoczył z radości.

- Tato, mogę mu dać jeść?!

- Oczywiście – odpowiedziałem. Byłem wdzięczny synowi, że przerwał naszą konfrontację i dał mi trochę czasu do namysłu – Daj mi nożyczki z szuflady. Otworzymy worek i dasz Kopciuchowi obiad. Trzeba się spytać mamy o jakieś miski na wodę i jedzenie.

- Mamy już nie ma! – rzucił przez ramię otwierając szufladę. – Poszła gdzieś.

Spojrzałem w stronę, gdzie przed momentem widziałem moją żonę, ale natknąłem się na pustkę. Widocznie wróciła do swojego pokoju, pomyślałem. Co miałem teraz zrobić? Wiedziałem doskonale, że powinienem pójść do niej i porozmawiać. Tak nakazywała zwykła ludzka przyzwoitość. Jednak perspektywa rozmowy z własną żoną okazała się mnie przerastać. Sięgnąłem do szafy i wyszukałem dwie miski. Chwilę później Piotruś nalewał do jednej z nich wody, a później do drugiej nałożył karmy. Ja natomiast z „*podkulonym ogonem*” poszedłem do łazienki i zamknąłem się od środka.

Musiałem koniecznie coś wymyślić. Ucieczka do łazienki to był krok szaleńca, który wyszedł na dach, ale z góry zakłada, że nie ma odwagi, aby przejść nieprzekraczalną granicę i skoczyć. Rozejrzałem się wokół, chyba po raz tysięczny analizując wnętrze, choć robiłem to automatycznie. Chyba chciałem dać moim zmysłom chwilę wytchnienia, pewnie tak. Wystrój i wyposażenie było powodem do dumy mojej Moniki. Gdy dwa lata temu zabraliśmy się za remont nie przypuszczałem, że dobór płytek i elementów łazienki będzie aż takim wyzwaniem. Mnie tak naprawdę niezbyt interesowało, jakie kafelki majster położy na ścianie albo jakie lustro zawisnie i w jakim miejscu. Dla Moniki było to jednak bardzo ważne i gdyby nie to, że w pracy miała koleżankę o imieniu Natalia, która lubowała się w doradzaniu, to zapewne na mnie spadłby obowiązek ujeżdżania po marketach i grzebania w katalogach. Ponieważ obie były w swoim żywiole, to ja mogłem zająć się Piotrusiem co bardziej mi odpowiadało. Teraz patrząc na seledynowe płytki na ścianie zastanawiałem się co powiem, gdy znowu się spotkamy.

Jola uciekła, a ja za przysłowiową chwilę będę musiał stąd wyjść i zapytać ją, czy czegoś nie potrzebuje? Jak zareaguje na moją obecność? Westchnąłem ciężko próbując zgadnąć, czy naskoczy na mnie wściekła, czy może potraktuje jakbym był przezroczysty i ostentacyjnie zignoruje moją obecność? Byłem świadomy, że moje serce pracuje równie chaotycznie jak mój umysł. W łazience panował miły chłodek, ale ja i tak miałem mokre pachwiny od potu. W tym momencie zazdrościłem mojemu synkowi jego młodego wieku, a nawet choroby, która odcinała go od pewnych aspektów dorosłego życia. Wiedziałem, że nawarzyłem piwa, które teraz przyjdzie mi wypić. Podeszedłem do kranu i odkręciłem zimną wodę. Odczekałem chwilę i przemyłem nieco chaotycznie policzki i czoło. Wytarłem szybko

całą twarz oraz ręce i wyszedłem z łazienki. Słyszałem dobiegające z kuchni odgłosy chrupania i słowa syna, który coś zawzięcie tłumaczył Kopciuchowi. Wziąłem kilka głębszych oddechów i ruszyłem w stronę pokoju Moniki.

- Moniś? – wsunąłem głowę do środka i zobaczyłem, że nie ma jej w łóżku. Sekundę zabrało mi, aby otworzyć szerzej drzwi i rozszerzyć sobie w ten sposób pole widzenia.

Stała przy oknie, odwrócona do mnie plecami, wpatrzona Bóg wie w co, jak gdyby to było symboliczne. Jej koszula nocna sięgała do kolan, co w tym momencie nie miało żadnego znaczenia, a mimo tego przykuło moją uwagę. Ostatnio coraz częściej łapałem się na tym, że mój umysł zachowuje się nie tak jak powinien. Interesowały mnie szczegóły bez żadnego znaczenia, bywałem rozkojarzony, miewałem dziwne sny, a i kilka razy zdarzyły mi się wizje które mnie wręcz przeraziły. Zwalałem to na karb zmęczenia i zestresowania związanego z sytuacją w mojej rodzinie.

Wszedłem jeszcze głębiej i zamknąłem delikatnie drzwi za sobą. Ponownie poczułem pustkę w głowie, gdy próbowałem rozgryźć dylemat – co dalej? Co powinienem jej powiedzieć, jak się zachować? Patrzyłem na jej sylwetkę i w myślach prosiłem, aby to ona wykazała jakąkolwiek inicjatywę.

- Mati, och Mati – wyszeptała, po czym poprawiła swoje niezwykle rzadkie włosy. Zwykle ludzie na chemii tracą wszystkie włosy, co jest skutkiem ubocznym trucia organizmu, ale u niej pozostały resztki, z którymi nie zamierzała nic robić. Te pojedyncze kępki długich włosów wyglądały żałośnie, ale ani ja ani nikt inny nie zasugerował jej, żeby zrobiła z nimi porządek. Dopiero, gdy jej ręka opadła wzdłuż tułowia powoli odwróciła się w moją stronę.

Serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłem jej twarz. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, żeby wyrażała taki smutek i bezradność. Niby patrzyłem na moją żonę, ale jak gdybym widział obcą osobę.

- Monika, ja... – zamierzałem dokończyć, ale nie wiedziałem co powiedzieć. Tak zwyczajnie, nie miałem pojęcia od czego zacząć. Ileż bym dał żeby wiedzieć, czego ode mnie w tej chwili oczekuje? Zachowałem się jak cham, wręcz jak skurwysyn i teraz nie miałem nic na swoją obronę.

- Czyżbyś miał coś sensownego do powiedzenia? – westchnęła i pogłaskała swój prawy policzek. – Czy naprawdę pragniesz, żebym cię

takim zapamiętała, kiedy będę się żegnać z tym światem? Taki sobie plan ułożyłeś w tej twojej popieprzonej mózgownicy?

- Widzisz, bo ja... – zacząłem jak skończony idiota i szybko przerwałem, a w duchu się modliłem, żeby nie dała mi dokończyć, abym nie musiał się tłumaczyć.

- Zamknij się, ty... kretynie! – warknęła, jak gdyby posłuchała moich modłów. Zaczęła iść w moją stronę, a ja odruchowo cofnąłem się o pół kroku. Podeszła do łóżka i ciężko usiadła. – Nawet już nie mam siły, żeby się z tobą kłócić. Jesteś zwykłym skurwysynem, a ona jest jeszcze gorsza. Ale co mam zrobić? Potrzebuję was obu, ja i Piotruś.

- Mo... – ponownie spróbowałem zagadać, ale mi przerwała.

- Najpierw byłem wściekła, nadal jestem... ale już nie tak – zaczęła bez patrzenia w moją stronę. – Nikt nie lubi i nie chce być zdradzonym. Zawsze byłeś kobieciarzem, a właściwie to nadal jesteś. No cóż taki masz charakter. Wiem jednak, że wcześniej nigdy mnie nie zdradziłeś, a to już coś. Jestem tego pewna, bo bym coś wyczuła. Teraz jednak jest inaczej, a wszystko się zmieniło, jak poszłam do szpitala. Ja ciebie nigdy nie zdradziłam... – przerwała i delikatnie zakasłała – Bo zawsze uważałam, że wierność jest podstawą małżeństwa.

Słuchałem jej słów i choć nie miałem bladego pojęcia do czego zmierza, to jednak cieszyłem się, że postanowiła przejąć inicjatywę. Jednocześnie modliłem się w duchu, aby Piotruś tu nie zajrzał i tego nie przerwał, bo za jakiś czas musielibyśmy zaczynać tę rozmowę od nowa. Nie wiedziałem czy mam się cieszyć, że jest tak pewna mojej wierności, a jednocześnie nieświadoma tego wszystkiego co przed nią skrywałem, czy raczej być przerażonym, że takie rzeczy jej robiłem. Miałem wiele kobiet, ale zawsze byłem na tyle sprytny, aby moje romanse nie rosły w siłę na tyle, aby wyrwały się spod kontroli.

- Nie jestem ślepa. Widziałam, co się dzieje. Jestem chora na raka szpiku kostnego, ale wzrok i zmysł obserwacji nadal mam sprawne. Byłabym jednak samolubna, gdybym nie rozumiała twoich potrzeb. Jola jest atrakcyjną kobietą i co ważne, jest zdrowa. – Podniosła wzrok i popatrzyła na mnie niezwykle poważnie. Gestem zachęciła, abym się zbliżył i do niej dołączył. Usiadłem po przeciwnej stronie łóżka, jak gdybym się jej obawiał.

- Przepraszam – wyszeptałem.

- Mati, ja już długo nie pożyję – kontynuowała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Boże, Monika, co ty mówisz? – wyszeptałem trwożnie. Nie chciałem, żeby płakała, a tym bardziej, żeby wspominała o śmierci. – Nie mów tak, proszę. Tak nie wolno mówić. Nawet gdyby to miała być... nie, tak nie wolno mówić. A poza tym zawsze jest nadzieja.

- Może i nie wolno, ale ja tak mówię. Mówię, bo wiem, bo czuję że zbliżam się do kresu. Jesteś ty, ale przede wszystkim jest Piotruś i to on potrzebuje stałej opieki. Jeżeli macie się ku sobie, to może nawet dobrze. Kiedyś bym Joli i tobie oczy powydrapywała, ale teraz widzę to inaczej. Nie odejdę dopóki nie będę wiedziała, dopóki nie będę miała pewności, że ktoś się wami zaopiekuje, że sobie poradzicie.

- Piotruś ma mnie... no i ciebie – powiedziałem niezbyt wyraźnie, bo poczułem ogromne zdenerwowanie. Dygotałem w środku i nie mogłem tego opanować. Dzień się tak świetnie zaczął, a ja później musiałem wszystko schrzanić. W myślach podjąłem decyzję, że o ile Jola powróci (w co nie wierzyłem), to natychmiast ją odprawię. Była spora szansa, że jeżeli jej nie będzie, to Monika mi w końcu wybaczy i wszystko powróci do normalności.

- Mateusz, nie gadaj mi tu bzdur – uniosła dłoń w geście, który odczytałem jako sygnał stop. – Jola będzie dobrą matką dla naszego Piotrusia. No i będzie dla ciebie dobrą żoną. Porozmawiam z nią i jak mi Bóg miły, przekonam. Wiem, że to szalone, ale właśnie tak zrobię.

- O Boże, Monika, nie jesteś sobą przez te wszystkie leki. – Wreszcie z moich ust wypłynęły szczere słowa.

- Mam trzeźwy umysł jak nigdy. Ktoś tam... – przerwała i uniosła palec ku górze – ...wspiera mnie i podpowiada, co powinnam zrobić.

- Monika, ja nie wiem czy ona... – spróbowałem jej wytłumaczyć, że postanowiłem ją odprawić, ale przeszkodził mi odgłos otwieranych drzwi. Odwróciłem się szybko, będąc przekonanym, że to Piotruś. Jakie było moje zdziwienie, gdy ujrzałem Jolę. Stała w wejściu zapłakana, z miną cierpiénika. Wyglądała na wystraszoną i niepewną tego, jak zostanie przyjęta.

- Monika, musimy porozmawiać – Jola wypowiedziała te słowa bojaźliwie i spuściła wzrok z pokorą.

- Tak, musimy, dziewczyno, musimy, ale w cztery oczy.

W pierwszym odruchu zamierzałem Jolę wyprosić, ale poczułem na dłoni uścisk Moniki.

- Mateusz, wyjdź teraz. To na razie tyle, co do nas. Później jeszcze porozmawiamy, bo jest o czym. A teraz proszę zostaw nas same – powiedziała ciepłym głosem i skrzywiła twarz w delikatnym uśmiechu, niczym ktoś, kto cierpi na amnezję albo już mi wszystko wybaczył.

Zrobiłem o co prosiła i jak zbity pies wyszedłem bez patrzenia na Jolę. Nie mogłem i nie chciałem spojrzeć jej w oczy. Kiedy zamykałem drzwi usłyszałem, jak Jola szepcze: – Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam, Moniś.

Co było później? Nie wiem. Oczywiście był bardzo ciekaw, o czym debatują, ale jak już wspomniałem zostałem wyproszony. Odczekałem pół godziny, a potem zabrałem Piotrusia na spacer z naszym, a właściwie to z jego psem. Uznałem że po tym, ile zapewne Kopciuch zjadł, to nie chciałbym później po nim sprzątać. Przez cały czas, gdy spacerowaliśmy byłem myślami gdzieś daleko i zastanawiałem się nad słowami Moniki. Nie wiedziałem, co będzie dalej, ale jednego mogłem być pewny. Od tego dnia moje życie będzie już inne. I wcale nie będzie to zasługą czworonoga. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że za niemalże dwa tygodnie moja Monika nie będzie już żyła.

2. Jeden wielki szpital

Akurat się goliłem, gdy usłyszałem przytłumiony dźwięk telefonu. Pomimo że brałem pod uwagę, że to może być coś ważnego, to jednak nie chciało mi się przerywać i wychodzić z łazienki. Byłem roznegliżowany od pasa w górę i pozostało mi zaledwie kilka pociągnięć maszynki, aby skończyć. – Jola, odbierzesz telefon? Ja się golę – zawołałem. Drzwi były uchylone, dlatego doskonale słyszałem co dzieje się w mieszkaniu. Chwilę nasłuchiwałem, ale nie dotarła do moich uszu żadna odpowiedź. Westchnąłem nieco teatralnie, zakręciłem płynącą wodę i z pianką na twarzy wyszedłem na korytarz. Pochyliłem się do przodu, żeby powiększyć sobie pole widzenia, ale nikogo nie zobaczyłem. Co do Piotrusia byłem pewien, że jest w swoim pokoju i bawi się z psem, ale gdzie była Jola?

- Jola! – rzuciłem podniesionym głosem.